



Świnica

Świnica to rozległy dwuwierzchołkowy szczyt wznoszący się nad dolinami: Stawów Gąsienicowych, Pięciu Stawów Polskich i Cichą, a ściślej jej górnym piętrzem – Doliną Walentkową. Tę oryginalną nazwę – zanotowaną już w XVII w. – zawdzięcza ponoć swej niedostępności. Na niższy wierzchołek wychodzono, zapewne przy okazji pomiarów trygonometrycznych, począwszy od końca XVIII stulecia, główny jednak został zdobyty przez sławnego przewodnika, Macieja Sieczkę, dopiero w 1867 r.¹. Świnica była wtedy jeszcze uważana za najwyższy szczyt „Tatr Nowotarskich”, a wycieczka na nią przez długie lata należała do ważniejszych osiągnięć turystycznych. Wraz z budową ścieżek i zamontowaniem klamer oraz łańcuchów ułatwiających wejście zaczęła być masowo odwiedzana, stając się jedną z najpopularniejszych gór w naszym kraju. Ze znanych osób wchodzili na szczyt między innymi: W. Orkan i S. Wyspiański, K. Przerwa-Tetmajer i M. Skłodowska-Curie, J. Marchlewski i Lenin.

Z czasem taternicy poprowadzili ścianami i filarami Świnicy oraz turni wchodzących w skład tego masywu – Gąsienicowej i Niebieskiej – wiele dróg wspinaczkowych. Jest więc Świnica drugim po Giewoncie najczęściej odwiedzanym szczytem, czemu sprzyja bez wątpienia kolejka linowa na Kasprowy Wierch, skąd wiedzie wygodna ścieżka aż na Świnicką Przełęcz. Przypomnę w formie ciekawostki, że na początku

1 Por. M. Jagiełło, *Sto lat Świnicy*, „Wierchy” 1966.

WOŁANIE W GÓRACH

naszego wieku inżynier Walerian Dzieślewski projektował zbudowanie kolei zębatej prowadzącej przez Halę Gąsienicową na Świnicką Przełęcz. Projekt uzyskał nawet dość znaczne poparcie Towarzystwa Tatrzańskiego i kół rządowych, w porę został jednak storpedowany przez działaczy rodzącego się właśnie ruchu ochrony przyrody.

Świnica jest szczytem skalistym, a więc turyści napotykają tu trudności, do których na ogół nie są przygotowani. Toteż rejestr wypadków jest długi: przeszło sto wypraw ratunkowych, ponad dwudziestu zabitych i zmarłych w wyniku obrażeń.

Pierwszym turystą, który nie powrócił z tego szczytu, był Günter Schönberg, porucznik z Erfurtu, który 3 lipca 1907 r. zabił się, schodząc z Gąsienicowej Turni do Pięciu Stawów. W rok później, 11 września, troje turystów zabłąkało się wśród żlebów i skalnych żeber opadających ku Dolinie Walentkowej – na szczęście natknął się na nich przewodnik i zarazem strażnik tatrzańskiej zwierzyny Szymon Tatar i wyprowadził z trudnego miejsca. 29 sierpnia 1913 r. *czeladnik szwabski z Zakopanego w czasie schodzenia ze Świnickiej Przełęczy spadł na śnieg w żlebie, śniegiem zsunął się na piargi i doznał ciężkich wewnętrznych obrażeń* – zanotowano w „Księdze wypraw”.

Po drugiej stronie tego masywu, w żlebie Zawratu, doszło ponoć do „ratowania Lenina”, o czym słyszałem parokrotnie z ust samego Stanisława Gąsienicy Byrcyna na początku lat 60. ubiegłego wieku. Mimo że sędziwy Stanisław wspominał o tym nie tylko w swojej gazdówce na Gładkiem na stoku Gubałówki i w ratowniczym gronie, ale także wobec szerszego audytorium – nie traktowaliśmy jego opowieści na serio. Nasz senior był postacią szanowaną i wiarygodną w sprawach zasadniczych, ale był też niewątpliwie osobowością artystyczną o bujnej fantazji. Miał dar opowieści snutych na pograniczu prawdy i niby-prawdy i to drugie zapowiadane zwykle było takim specjalnym błyskiem w oku, jakby mówiący, a raczej odgrywający swój spektakl, chciał dać widowni sygnał: Myślcie o tym, co chcecie... Nie od rzeczy będzie napomknąć, że Stanisławowa opowieść była przez nas, ratowników, odbierana w pewnym sensie jako wypowiedź polityczna. To jego z szelmowskim chichotem wypowiedziane – oczywiście w ścisłym gronie – wtrącenie: *Gdybym to ja wiedział, że w moich rękach los Rosji, Polski i w ogóle świata znajdował się, to on by inaczej wyglądał.* To jego

wyczekiwanie, że któryś z nas zapyta go, czy naprawdę spotkał Lenina, a on potwierdzi: – *Ano. Na Zawracie. Jeszcze mi skurwisyn za dwie dniówki winien*. Co było nawiązaniem do dawnego zwyczaju wypłacania równowartości dwóch dni przewodnickich za udział w jednym dniu ciężkiej wyprawy ratowniczej.

Stanisławową opowieść powtarzali, a zapewne i przetwarzali dziennikarze, i nie dojdziemy, ile w tych „apokryfach” było słów Byrcyna, a ile autorzy dodawali od siebie². Nie zaprzętałem tą historyjką uwagi Szanownych Czytelników kolejnych wydań „Wołania w górach”, ale czynię to teraz dzięki Piotrowi Dąbrowieckiemu, który przysłał mi niedawno radiowe nagranie chyba z lat 50. ubiegłego wieku, zachęcając do odsłuchania taśmy. Znów usłyszałem głos Stanisława Gąsienicy Byrcyna. – To było w Zielone Świątki 1914 roku – opowiada on. W pewnym momencie zobaczyliśmy dwie postaci na śniegach, schodzące Zawratem. Nagle pierwszego *prasało na główną część ciała*. Potem drugiego. Wpadli do szczeliny między śniegiem i skałą. Nie mogli się sami wydostać. Krzyknąłem, żeby czekali. Po półtorej godziny byliśmy przy nich. Pomogliśmy im. Wyszliśmy na Zawrat, skąd razem zeszliliśmy do Pięciu Stawów. Ci dwaj rozmawiali z prof. Wilińskim z Sącza. I od niego wiem, że jeden z nich to był Lenin, a ten drugi to Malinowski. Poszli w dół Roztoką, a my do Morskiego Oka.

Sięgnijmy więc po wspomnienie Floriana Wilińskiego, który był organizatorem i kierownikiem wycieczki uczniów I Gimnazjum w Nowym Sączu. Pomagał mu jego kolega prof. Piotr Zieliński i mgr Bączkowski, aptekarz w Nowym Sączu, *dobrze chodzący po Tatrach* (...). Początek czerwca 1914 r. Wycieczkę prowadził Stanisław Gąsienica Byrcyn, uważany za *najlepszego przewodnika po Klimku Bachledzie* – opisywał po dziesięcioleciach Wiliński. Śniegu i lodu było tak dużo, że zrezygnowano z podejścia od Czarnego Stawu na Zawrat, decydując się na trawers Świnicy od południa. Odpoczywano na słynnej przełęczy. W pewnym momencie posłyszano jakieś głosy, a w końcu *i wołanie o ratunek*. *Wówczas poleciłem Staszкови Byrcynowi pójść na przełęcz*

2 Por. J. Rotter, *Byrcyna jeszcze biorą ciagotki...*, „Głos Sportowca” 1956, nr 38; J. Żukowski, *Dwa wspomnienia. [Część druga] W górach*, „Gazeta Krakowska” 1959, nr 123; H. Kaszkowiak, *Nieznaný szczegół biografii Lenina!*, „Przekrój” 1967, nr 1151; *Od redakcji*, tamże.

i uczynić, co będzie potrzebne. Z przewodnikiem-ratownikiem poszedł Bączkowski, on bowiem także miał linę, i kilku chłopców (...). Minęło około pół godziny, gdy ujrzelśmy wracających. Wstaliśmy oczywiście i gdy oni zbliżyli się do mnie pierwszego, ujrzałem, że dwaj mężczyźni byli zupełnie przemoczeni (...). Pierwszy z nich przedstawił się – Malinowski, poseł do Dumy – i ściskając moją dłoń, w serdecznych słowach dziękował za ratunek. Drugi, znacznie niższy, twarz niezwykajna u nas, nieco skośne oczy, policzki nieco wystające, szczupły wąs i wąska bródka, cera wówczas „ziemista”, można by powiedzieć, co nie mogło dziwić, bo człowiek ten trząśł się z zimna do tego stopnia, że z trudnością mógł potem parę słów powiedzieć. Ubrany był w zwyczajne szare ubranie i także buciki, na głowie czapka, tzw. cyklistówka (...). Ten drugi podał mi rękę i coś mruknął, z czego wyraźnie jednak usłyszałem: ...Uljanow. Gdy coś do niego powiedziałem, natychmiast nachylił się do mego ucha Malinowski i cicho powiedział: „To jest Rosjanin, on nie mówi po polsku”. Wiliński zauważył, że ludzie ci nie mieli choćby najlichszego ekwipunku wycieczkowego, nawet torby czy plecaka ani choćby kawałka chleba, a zwyczajną laskę miał tylko Malinowski. Okazało się też, że panowie ci wpadli (ześliznęli się) między oblodzoną, przeto zupełnie śliską, grzędę skalną Zawratu (którą wieździe normalnie ubezpieczone wyjście na przełęcz) a masę lodową, zawałającą całą przełęcz. O wyjściu o własnych siłach nie mogło być mowy, nic innego nie mogli uczynić, tylko stać cierpliwie, a lodowata woda ze zwisającego nad nimi topniejącego lodu ściekała na nich. Nie trudno odgadnąć, jaki byłby ich los, gdyby zostali w tym położeniu choćby przez jedną noc, gdyż wówczas w nocy panował jeszcze mróz. Wyciągnięcie ich na linach z tej czeluści było nadzwyczajnym, szczególnie przypadkiem, w tych czasach bowiem w Tatrach w początkach czerwca żywego ducha, jak się to mówi, nie spotykało się! W schronisku nasi panowie musieli się rozebrać, okryliśmy ich kocami i tak siedzieli, podczas gdy ich bielizna i ubrania, uprzednio wykręcone z wody, suszyły się rozwieszzone na sznurach blisko kuchni. W suchych ubraniach, nakarmieni, zaopatrzeni przez profesora w papierosy, obaj mężczyźni zostali odprowadzeni na ścieżkę wiodącą do Roztoki: pożegnaliśmy się, przy czym Malinowski jeszcze raz bardzo gorąco dziękował wszystkim. Natomiast jego towarzysz zachowywał się przez cały

czas pobytu w schronisku bardzo powściągliwie i milcząco³. Brzmi to wiarygodnie. Do tego stopnia, że autorzy „Wielkiej encyklopedii tatrzańskiej” napisali: *W czerwcu Byrcyn z towarzyszami udzielił pomocy Leninowi i Romanowi Malinowskiemu, którzy utknęli pod Zawratem w szczelinie śnieżnej i o własnych siłach nie mogli się wydostać. Zdarzenie to było kilkakrotnie opisywane, ale błędnie. Poprawny opis podał Florian Wiliński (...)*⁴.

Bez wątpienia 9 lub 10 czerwca 1914 r. (a nie w Zielone Świąta, czyli 31 maja, jak utrzymywał Byrcyn) jacyś dwaj mężczyźni wydobyli zostali ze skalno-lodowo-śnieżnej pułapki w Zawracie. Jest wielce prawdopodobne, że tym małym rozmownym Rosjaninem był Lenin, a ów poseł do Dumy to Roman Malinowski – o mocno poplątanym i podejrzanym życiorysie⁵. Niezależnie od tego, kim rzeczywiście byli obaj mężczyźni, w ich wydobyciu z groźnej sytuacji swój duży udział miał Stanisław Gąsienica Byrcyn. I to sam fakt ratowania jest najważniejszy, a nie kto potrzebował pomocy.

Czas wrócić w rejon Świnicy.

Zabłądzenia, upadek na twardym zlodowaciałym śniegu, odpadnięcie od skały na skutek znacznych trudności – to główne przyczyny wypadków. Z dużej ich liczby wybrałem tylko najbardziej charakterystyczne.

W połowie sierpnia 1939 r. na Świnicy doszło do tragedii, ale nie ma o tym ani słowa w „Księżde wypraw”! Dlaczego? Otóż Józef Oppenheim przy wielu talentach i cnotach miał też i pewną przypadłość, a była nią tak daleko posunięta niechęć do „papierkowej roboty”, że obejmowała ona także sporządzanie dokumentacji wypraw TOPR. Zdarzało mu się, że uzupełniał zapisy dopiero po jakimś czasie od danej akcji i dlatego z reguły grzeszą one nadmierną lakonicznością. A tym razem – nie zdążył. Wybuchła wojna, Józef nagle wyjechał z Zakopanego...

3 F. Wiliński, *Wycieczka w Tatry (czerwiec 1914 r.)*, w: *Polacy o Leninie. Wspomnienia*. Oprac. L. Dubacki, Z. Iwańczuk, J. Sobczak; red. J. Sobczak, Warszawa 1970, s. 222–225.

4 Z. Radwańska-Paryska, W.H. Paryski, *Gąsienica Byrcyn Stanisław* [hasło], w: *tychże, Wielka encyklopedia tatrzańska*, Poronin 1995, s. 304; także: *Lenin Włodzimierz*, s. 643. Szerzej o tym zajęcia por. M. Jagiełło, *Lenin w szczelinie prawdopodobieństwa*, „Tatry” 2010, nr 4 oraz „Wyspa” 2010, nr 4; *Lenin w rassielinie*, „Nowaja Polska” 2010, nr 12.

5 Por. A. Mandalian, *Nazywał się Malinowski. Roman Malinowski*, „Gazeta Wyborcza” („Świąteczna”) 2009, nr 179.

(...)

Nazajutrz ponownie wezwanie o pomoc. Na trawersie Niebieskiej Turni poślizgnęła się kobieta i doznała kontuzji nogi. Startuje „Sokół” Straży Granicznej z Andrzejem Blachą jako ratownikiem pokładowym i lekarzem Przemysławem Gułą. Są tu także Robert Kidoń i Władysław Floryn. Ratownicy desantują się na Zawracie, dochodzą do rannej i udzielają jej pomocy. *Ponieważ wypadek zdarzył się w eksponowanym miejscu, a warunki panujące w tamtym rejonie czyniły transport klasyczny dość ryzykownym, przeto ratownicy, wykorzystując technikę długiej liny, przetransportowali raną śmigłowcem bezpośrednio z miejsca wypadku do wylotu Dolinki Pustej. Tam poszkodowana została umieszczona na pokładzie i przewieziona do szpitala. Cała trudna technicznie akcja ratunkowa trwała nieco ponad dwie godziny. Gdyby nie śmigłowiec, klasyczny transport rannej z tak eksponowanego terenu trwałby wiele godzin* – puentuje Adam Marasek¹⁷.

30 stycznia 2005 r. o godzinie 15.23 zawiadomienie, że w masywie Świnicy utknęły trzy osoby. Startuje R. Hojdys, na pokładzie: T. Gąsienica Mikołajczyk, W. Cikowski, P. Bukowski i P. Guła. Desant na wierzchołku. Budowanie stanowiska zjazdowego. Dotarcie do turystów. Wyprowadzenie ich z trudnego terenu.

O 19.05 ratowani i ratownicy stanęli na Świnickiej Przełęczy.

Turyści weszli na Gąsienicową Turnię i – sądząc, że są na Zawracie – zaczęli schodzić na północ. Utknęli. Poprosili o pomoc.

Pod koniec września dwoje Słowaków odpoczywa na wierzchołku Świnicy. Nadchodzi młody mężczyzna. Rzuca ku nim: – Serwus.

I skacze w przepaść.

Wstrząśnięci tym Słowacy schodzą ze szczytu, idą na Kasprowy Wierch i telefonicznie zawiadamiają TOPR. Jest godzina 15.00.

W góry wyrusza ekipa dowodzona przez M. Pawlikowskiego. Poszukiwanie zwłok. Są! W północno-wschodnim żlebie, około 100 m poniżej wierzchołka.

17 Tenże, *Kronika ratownicza TOPR w 2004 roku*, „Wierchy” 2004.

WOŁANIE W GÓRACH

Transport ciała metodą improwizacji w noszach francuskich około 240 m; oczywiście cały czas z użyciem lin alpinistycznych. Zapada noc. Męczące znoszenie zwłok po piargach i złomach granitu. Ciało do kostnicy. Sprzęt do Centrali. Dochodzi północ.

Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego przerwałeś swoje młode życie?

Nie ty jeden. Przecież dopiero co młoda kobieta wybrała Giewont na swoją rozprawę z sobą.

Większość z nas chce żyć – pomimo mniejszych czy większych przepaści otwierających się w naszych umysłach.

Jest początek grudnia. Tuż po godzinie 15.00 do TOPR telefonuje mężczyzna. Utknął na samiuteńkim wierzchołku Świnicy. Na Kasprowym Wierchu dyżurują już ratownicy, zaraz więc Jan Tybor i Jan II Gąsienica Roj ruszają granią na wschód. Za nimi z Centrali wyjeżdża Roman Szadkowski z trójką kolegów. Zapada zmrok, zaczyna się górska grudniowa noc. Turysta został bezpiecznie sprowadzony w dolinę. Ku życiu.

Pod koniec marca 2006 r. o 20.30 pewien taternik telefonuje do TOPR: – Jesteśmy w kopule szczytowej Świnicy po całodniowej wspinaczce. Mój partner osłabł. Ale – może damy sobie radę. Po godzinie odzywa się – pogoda coraz gorsza, prosi o pomoc. Witold Cikowski zwołuje drużynę: Rafał Guziak, Bartek Gąsienica Józkowy, Paweł Nadybał. Za kierownicą samochodu Stanisław Pabin. Jazda zaśnieżoną drogą prowadzącą z Brzezin na Halę Gąsienicową. W ruch idą skutery śnieżne. Wyżej – jakże przydatne – narty przystosowane do podchodzenia. Zwyczajna trasa choć o północy. Już Liliowe, już Świnicka Przełęcz. Trzeba zostawić narty i w górę – na wierzchołek. I w końcu zejście – z asekuracją linową – do chłopaków tkwiących w ścianie. Jest godzina 1.30. Pakiety grzewcze, herbata, dobre słowo, wyprowadzanie na wierzchołek i zejście do „Murowańca”. W sprawozdaniu z wyprawy Cikowski zanotował: Jeden ze wspinaczy słaby i zziębnięty, natomiast drugi *jest w dobrej kondycji (pomimo spędzenia 21 godzin na zewnątrz, w tym 10 godzin wspinania*. To ważne spostrzeżenie, warto je uogólnić choćby tylko w banalne stwierdzenie, że różni my się między sobą: wyposażeniem genetycznym, stopniem wytrenowania organizmu poddawanego fizycznym przeciążeniom, odpornością psychiczną na trudne sytuacje, umiejętnością „współzycia” z mrozem, wiatrem, nocą, ścianą, własnymi myślami. Ratownicy mają świadomość owych

różnic i wiedzą – choćby z własnych doświadczeń – że w górach wszystko jest „w ruchu”; a zatem ratownik musi się liczyć z zaskakująco różnymi reakcjami ludzi. Dwaj taternicy w podobnym wieku, o porównywalnym stopniu obycia z górami, niemal identycznie ubrani – mogą różnie reagować, powiedzmy, na nieplanowany biwak w ścianie. Zresztą, zawsze trzeba się liczyć ze słabością. Każdy z nas ma do tego prawo.

Mam prośbę do Ciebie, młody i sprawny górsko Czytelniku: zanim prychniesz lekceważącym zdumieniem, czytając opisy sprowadzania ludzi z miejsc znanych ci i stosunkowo łatwych, wyobraź sobie noc, zimę, śnieżycę, wiatr siekający lodowymi igłami, głód i pragnienie. W takich warunkach łatwo dać się ponieść myślom na pograniczu paniki. Wtedy rozsądniej jest wezwać Pogotowie, niż próbować wydostać się samemu z opresji. Oczywiście prośba o pomoc powinna być uzasadniona przekonaniem, że sam nie jestem w stanie wydostać się z pułapki. I znowu dopowiedzenie: „pułapka” może być rzeczywista – jeden krok w złą stronę i przepaść – lub urojona – bo wystarczy opanować rozbiegane strachliwe myśli, zrobić krok do tyłu i odnaleźć bezpieczne zejście. Wędrówka w górach przepaścistych, szczególnie zimą, a osobliwie nocą, to stała gra między racjonalnym ocenianiem danej mi oto sytuacji a nadmiernie rozbuchaną pracą wyobraźni utrudniającej chłodne myślenie. Bez wątplenia łatwość wezwania ratowników – telefony komórkowe! – została raz i drugi nadużyta. Cóż z tego? Jeśli tylko to wezwanie nie było karygodnym żartem albo złośliwością, jeśli wynikało z subiektywnego przekonania o utknięciu w pułapce – mieści się w puli zachowań dopuszczalnych w wysokich górach. Oto trzy przykłady. Pod koniec lutego 2006 r. M. Pawlikowski wraz z trzema kolegami wyprowadził z Zadniego Kościelca dwóch wspinaczy. Na początku marca tego roku M. Ziach ze swoją małą ekipą odnalazł turystę na Wołowcu i sprowadził go do schroniska. Teżsame nocy ratownicy pod wodzą Henryka Króla Łęgowskiego wydobyli innego turystę z „matni” Czerwonych Wierchów. Kto z nas ma prawo oceniać wzywających pomocy? Ja na pewno nie będę tego robił.

Powróćmy w rejon Świnicy. Pod koniec czerwca 2006 r. wczesnym popołudniem wiadomość przez telefon komórkowy. Pod Zawratową Turnią, po południowej stronie, turystka poślizgnęła się na płacie śniegu, uderzyła w kamienie, jest ranna. Pogoda nie daje szansy pilotom.

WOŁANIE W GÓRACH

Do akcji ruszają dwie ekipy: jedna kolejką linową na Kasprowy Wierch i dalej granią przez Świnicę, druga Doliną Roztoki przez Dolinę Pięciu Stawów. Z „Murowańca” biegnie Tomasz Gąsienica Mikołajczyk – i to on pierwszy dociera do rannej. Po chwili jest też przy niej Robert Janik, który w zespole Ziacha szedł od Kasprowego Wierchu. Turystka jest w stanie poruszać się o własnych siłach, ale z wykrzywioną bólem twarzą i bardzo wolno. *Aby przyspieszyć wyprawę, uszkodzona od Przełęczu Zawrat do Zmarzłego Stawu opuszczana jest w noszach po śniegu* – zanotował w opisie wyprawy Roman Kubin. I jeszcze że: alarm – 14.40, szpital – 21.20, w akcji uczestniczyło 17 ratowników. 26 lutego 2007 r. wieczorem do „Murowańca” telefonuje pewna pani. Jej syn – powiada – mieszka z kolegą w schronisku. Telefonuje codziennie po zejściu z gór. Dziś się nie odezwał. Rzeczywiście, w schronisku czekały osobiste rzeczy obu turystów. Brak było małych plecaków, raków i czekanów. To poważna poszlaka, że obaj mężczyźni wyszli w trasę. *Mogli iść wszędzie* – cierpko zanotował Andrzej Blacha w dokumentacji poszukiwań. Telefonicznych – w schroniskach, w szpitalu, i – oczywiście – w terenie. Henryk Król Łęgowski z pięcioosobową drużyną „zwiedzał” nocą wyższe partie gór. Bezskutecznie. Nazajutrz w poszukiwania zaangażowało się 16 ratowników. Wczesnym popołudniem Stanisław Bobak natknął się na dwa ciała pod południową ścianą Świnicy. Dobrze ubrani. Solidne buty. Tylko dlaczego bez raków? Owszem, mieli je – w plecakach. Marcin K., lat 41 i Grzegorz G., lat 38. Dlaczego nie żyją? Bo spadli. Dlaczego spadli obaj? Czy jeden, spadając, postrącił kolegę? Czy może ten drugi, chcąc pochwycić spadającego kolegę, stracił równowagę? Czy schodzili ze Świnicy w stronę Zawratu? A może szli od Zawratu? Nie wiadomo.

O masywie Świnicy, jak zresztą o każdym z rejonów i tematów wyróżnionych w niniejszej książce, można komponować całe tomy, biorąc choćby za podstawę pękate teki comiesięcznych i corocznych sprawozdań z ratowniczych działań TOPR. Poślizgnięcia na twardym śniegu, stracenie równowagi na zalodzonej stoku, zabłądzenia, odpadnięcia od skały... Zwyczajne niegroźne przypadłości i ciężkie urazy, kalectwo, śmierć. 1 lipca 2008 r. w popularną wspinaczkową drogę filarem Świnicy wszedł czteroosobowy zespół: Monika, instruktorka alpinizmu i jej trzech podopiecznych. Już blisko wierzchołka odpadł w tzw. Ko-

minku Wyjściowym młody taternik. Konieczna szybka pomoc. Jest godz. 16.38. Akcją kieruje R. Kidoń. Przy sterach A. Łuboczko i R. Augustynowicz. Desant na linie tuż koło rannego. M. Latasz i lekarz Sebastian Tomasz Ochenduszo udzielają pierwszej pomocy. Poważny uraz – niemal całkowita amputacja prawej nogi powyżej stawu skokowego. O 18.10 ranny znalazł się w zakopiańskim szpitalu. Kto popełnił błąd? Na pewno nie było błędem sztuki alpinistycznej wejście w tę właśnie drogę, na tym właśnie etapie wspinaczkowego szkolenia. Nie popełniła też błędów Monika, „wypuszczając na pierwszego” jednego z mężczyzn; w pewnym momencie każdy z uczestników kursu wspinaczkowego, jeśli chce go ukończyć z pozytywnym wynikiem, musi zdecydować się na prowadzenie, iść jako pierwszy w zespole. Oczywiście przywilej prowadzenia to także zwiększone ryzyko. Jedyną szansą na jego zmniejszenie jest ostrożność w poruszaniu się w górach. Moje zdanie jest takie: jestem człowiekiem wolnym i w górach mogę robić to, co w danym momencie chcę, ale to moje realizowanie osobistej wolności (np. samotna wspinaczka bez asekuracji albo poruszanie się w zespole z „lotną” asekuracją) nie powinno stawać się zagrożeniem dla innych. Jakkolwiek to brutalnie brzmi, warto powiedzieć, że w górach można zabić drugiego także swoim ciałem!

29 listopada 2009 r. północno-wschodnim żlebem Świnicy wspinały się dwa zespoły: Jan i Piotr oraz Anna, Bartłomiej i Jakub. W zespole pierwszym prowadzi Janek, zaś w drugim Bartek. Na moją prośbę Kuba Wrona tak opisał przygodę, która mogła się skończyć tragicznie. Posłuchajmy: *Po dotarciu do stanowiska po pierwszym wyciągu tracimy kontakt wzrokowy z Jankiem i Piotrkim. Gdy wraz z Anią dochodzimy do końca drugiego wyciągu, Piotrek – idący dalej na „drugiego” – jest w kluczowym miejscu lodospadu, który szybko i sprawnie pokonuje. My w tym momencie robimy króciutką przerwę (...). Po chwili Bartek wybiera prawą, łatwiejszą część lodospadu, w chwili gdy zaczyna zakładać trzecie stanowisko (jak się później okazuje, zdążył założyć jedną kostkę), ja – patrząc w górę – zauważam dużą „czapę” śniegu (wiedziałem, że to nie pyłówka) i ostrzegam Anię, krzyżąc: „Uwaga, lawina!” (...). Masy śniegu wyrrywają mnie ze stanowiska asekuracyjnego i zawisam na swojej autoasekuracji – mówi Kuba. Po kilku sekundach słyszę świst, tak jakby przelatywał duży kamień. Nieświadomy jeszcze sytu-*

WOŁANIE W GÓRACH

acji, która się wydarzyła, odczekuję (...) kilka sekund i oglądam się za siebie. Około 4–5 metrów pod nami zawisa zahaczoną dziabką [rodzaj czekana – M.J.] o naszą linę Janek, który traci (...) przytomność, jednak po upływie około minuty ją odzyskuje, widać, że jest w szoku i nie wie, co się stało. Dopiero po kilku sekundach dociera do mnie, że (...) pod Jankiem znajduje się Piotrek i wygląda na to, że spadł do podstawy ściany. Natychmiast wyciągam telefon i dzwonimy do TOPR-u; z ratownikiem rozmawia Ania. Sytuacja jest tym poważniejsza, że Janek, wisząc na naszej linie, obciążył cały nasz układ asekuracyjny i właściwie żadne z nas nie może się ruszyć; w „najgorszej” sytuacji znajduje się Bartek, który – jak się okazuje – wisi na jednej kostce. Po kilku minutach Janek na tyle odzyskuje świadomość, że jesteśmy w stanie stwierdzić prawdopodobne złamanie nogi i ogólne potłuczenia. Mobilizujemy Janka, jednocześnie opuszczając do niego dwie śruby (jedną lodową, drugą trawkową), aby założył sobie autoasekurację i tym samym odciążył nasz układ, żeby Bartek mógł do nas zjechać. W międzyczasie odbieram – bardzo zdziwiony!!! – telefon od Piotrka, który zdążył powiedzieć tylko, że „wszystko ok” i się rozłączył. Próby nawiązania kolejnego kontaktu z Piotrkiem nie powiodły się, więc nie jesteśmy tak naprawdę w stanie stwierdzić, w jakim stanie się znajduje. Janek stwierdza, że jest w stanie zjeżdżać sam i tym samym zaczynamy zjazd. Pierwszy jedzie Bartek, następnie Janek, Ania i ja na końcu. Ja, po dokonaniu jednego zjazdu i odczekaniu, gdy Bartek, Janek i Ania zjadą drugim zjazdem, likwiduję stanowisko i łatwym terenem śnieżnym (...) schodzę do pozostałych. W tym momencie Bartek rozpoczyna ostatni zjazd w łatwym już terenie, jednak ze względu na uszkodzowanych jest on jak najbardziej zalecany. Ponownie likwiduję stanowisko i schodzę w dół. Na miejscu Ania zaczyna usztywniać za pomocą kijków i bandaża kontuzjowaną nogę Janka. Jednak po chwili słyszymy nawoływania, jak się okazuje, dwóch pierwszych ratowników, którzy po chwili docierają do nas i „przejmują” chłopców. Mgła i wiatr uniemożliwiły użycie śmigłowca i ratownicy pod kierownictwem Edwarda Lichoty transportowali obu rannych tradycyjnymi metodami.

Cóż tu jeszcze dodać? Może tylko: całe szczęście, że spadający zaplątali się w linę kolegów i że ich stanowisko asekuracyjne było dosta-

tecznie solidne. Ma rację Kuba, tak pisząc od siebie: *W żadnym wypadku nie należy lekceważyć tzw. łatwego terenu ani sugerować się stopniem zagrożenia lawinowego, podawanego np. w informacjach TOPR-u, ponieważ są to ogólne dane dotyczące całego regionu Tatr i nie odzwierciedlają sytuacji w danym terenie. Nie ulega wątpliwości, że cały wypadek spowodowany był błędem człowieka, tj. złą oceną warunków (wejście na stok z nawianym śniegiem), jak i złą asekuracją. Jak mówi stara taternicka prawda, że w łatwym terenie należy stosować sztywną asekurację, a jeśli jest to z jakiegoś powodu niemożliwe, należy się rozwiązać! Nie będziemy stwarzać zagrożenia dla partnera. Święte słowa.*

6 września 2010 r. około 13.45 do recepcji w „Murowańcu” telefonuje mężczyzna i powiada, że utknął na Świnicy. Zaraz też ratownik dyżurny, a jest nim Marcin Gąsienica Kotelnicki, wyrusza w górę. Towarzyszy mu Kacper Tekieli. Warunki są trudne: mgła i ciągly opad śniegu. Trzeba uważać. O 17.45 Marcin i Kacper są wreszcie przy turyście – w okolicach Gąsienicowej Turni. Młody mężczyzna w ogóle nie był przygotowany do tej trasy i to jeszcze w takich warunkach. Miał na sobie spacerowy ubiór i letnie „siatkowe” adidas! Zamilczmy. Dochodzi 21.15 i ratownik dociera z mężczyzną do schroniska.

Pamiętajmy, że właśnie od tego masywu rozpoczyna się Orla Percé – i biegnie granią aż do przełęczy Krzyżne. Jak wynika z opracowania Adama i Andrzeja Marasków, w rejonie tego prawdziwie wysokogórskiego szlaku w latach 1909–2014 śmierć poniosło 122 turystów; przy czym na samym tylko odcinku od wierzchołka Świnicy do Zawratu zginęło 13 osób.

4 września 2012 r. o godzinie 11.50 do TOPR-u zadzwonił taternik wspinający się na Niebieskiej Turni. Widział, jak z eksponowanego odcinka szlaku prowadzącego ze Świnicy na Zawrat spadł do Dolinki pod Kołem aż na piargi jakiś człowiek. Relacjonował, że widzi również, jak ze szlaku usiłują zejść do leżącego wędrujący tamtędy ludzie – zanotował Adam Marasek. Wnet w rejonie wypadku pojawił się śmigłowiec pilotowany przez A. Łuboczkę i mimo przechodzących mgieł, po zarządzonym przez Jacka Brońskiego desancie na linie – już o 12.15 nad ratowanym pochylili się M. Latasz, S. Krzeptowski Sabała, G. Bargiel i B. Michna, przejmując od turystów reanimację mężczyzny z rozległą raną szczytu i tyłu głowy. Mimo prowadzonych przez blisko godzinę in-

tensywnych zabiegów resuscytacyjnych nie udało się przywrócić funkcji życiowych. W wyniku obrażeń spowodowanych upadkiem z wysokości śmierć poniósł Józef Szaniawski, znany działacz opozycji antykomunistycznej w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku. Miał 68 lat¹⁸.

Dzięki poecie i historykowi literatury Arturowi Nowaczewskiemu dowiedziałem się, że jego znajoma Maria Dąbrowska-Czoch tego dnia była w rejonie Świnicy... A oto co Maria napisała na moją prośbę: *Tak gwoli wyjaśnienia – Józefa Szaniawskiego nie znałam wcześniej. W drugiej połowie września, po powrocie z wakacji, natknęłam się przypadkiem w Internecie („Gazeta Wyborcza”) na tekst o „incydencie na mszy pogrzebowej Józefa Szaniawskiego”. Poczulałam się zawstydzona zachowaniem ludzi. Doczytałam do końca, gdzie widniała informacja: „zginął w Tatrach 4 września, spadł w przepaść. Miał 68 lat”. Wielu ludzi ginie w Tatrach, ale to zdanie wyjątkowo mnie poruszyło, zaczęłam szukać innych informacji o tej śmierci. Gdy przeczytałam, że spadł ze Świnicy, zadzwoniłam natychmiast do mamy, by się upewnić – tak, 4 września byłyśmy na tym samym szlaku. Znalazłam w sieci zdjęcia Profesora i rozpoznałam na nich przemiłego, wesołego człowieka, z którym rozmawiałam tamtego dnia.*

Staliśmy razem w kolejce do wyciągu na Kasprowy i wjeżdżaliśmy pierwszym wagonikiem, on był sam, ja z mamą i synkiem. Z Kasprowego biegłam z samym aparatem na Świnicę i z powrotem, zatrzymywałam się na zdjęcia (była malownicza, choć zdradliwa, jak się okazało, pogoda – ponad wznoszącymi się chmurami słonecznie, sucho, dobra widoczność). Na tej trasie kilkakrotnie się z nim mijałam i rozmawiałam – kiedy pozdrowiłam go, wyprzedzając pierwszy raz, zagadał do mnie i tak się poznaliśmy, nie wymieniając nazwisk. Miło spotkać kogoś, kto kocha góry i nie jest wagonikowym spacerowiczem. Choć starszy, zmęczony, zgrzany, widać było, że doświadczony, rozważny. Myślałam: dzielny człowiek. Pamiętam ciemnoniebieski plecak, który przypominał mi stary plecak mojego taty, ale może to wspomnienia płatają mi figla.

Najwięcej słów wymieniliśmy ostatnim razem – kiedy ja schodziłam już ze szczytu, a on podchodził (przy zakręcie czerwonego szlaku ze Świ-

18 Tenże, *Lato obfitujące w wypadki*, „Tatry” 2012, nr 4, s. 33.

nicy w stronę Kasprowego). Przed nim było jeszcze parę osób, ale większość ludzi dopiero zaczynała wchodzić od przełęczy. Zatrzymaliśmy się, śmialiśmy, żegnaliśmy się parę razy i jeszcze rozmawialiśmy. Pytał mnie o synka i opowiadał, że z wnukiem (wtedy trzyletnim jak mój Ignas teraz) w nosidelku był tu, na Świnicy, rok wcześniej. Był radosny, bezpośredni i uprzejmy. Powiedział mi wiele komplementów i dobrych słów, nazwał z rosyjska „skałozaką”, bo to takie ładne określenie, jakiego w naszym języku nie ma. Jeszcze zagadywał, ale ja się spieszyłam...

Rozeszliśmy się w przeciwne strony. Musiałam wracać do synka. Schodząc z gór przez Kondratową, nic nie wiedziałam o wypadku, który miał miejsce krótko po naszej rozmowie. Co się tam stało, jaki tragiczny krok? A gdyby...! Gdyby mnie nie spotkał, gdybym się nie spieszyła! Biegłam po tych skałach, mogłam to być ja, właściwie to powinnam być ja. Trudno mi było potem patrzeć na własne zdjęcia z tamtego szlaku¹⁹.

1 maja o 21.00 ratownicy otrzymali wiadomość, że nie ma kontaktu z młodym zakopiańczykiem Janem Szymonem T., lat 23, który zamierzał jedną z ostatnich kolejek wyjechać na Kasprowy Wierch, a następnie wybrać się w rejon Świnicy, by stamtąd na nartach zjechać w kierunku Karbu, a potem żlebem nad Czarny Staw i dalej do „Murowańca”. Ratownicy dyżurni z Hali Gąsienicowej i Pięciu Stawów wyszli na poszukiwania, wyjechała też ekipa z Centrali. O godzinie 1.35 Witold Cikowski, Bolesław Pietrzyk i Tomasz Michalik po wyjściu na szczyt Świnicy dostrzegli zjazdu północno-wschodnim żlebem. Inni ratownicy o 3.00 natrafili na zwłoki poszukiwanego. *Wszystko wskazywało na to, że narciarz zaczął zjeżdżać żlebem, dojechał do progu, tam z powodu braku śniegu próbował po zdjęciu nart zejść do dalszej zaśnieżonej części, by kontynuować zjazd. Podczas zejścia poślizgnął się i spadając do podstawy ściany, doznał śmiertelnych obrażeń* – czytamy u Adama Maraska²⁰.

1 kwietnia 2017 r. o godzinie 10.30 do TOPR zadzwonił narciarz skitourowy, informując, że podczas zjazdu z Liliowego na Zielony Staw upadł i złamał rękę. Na zgłoszenie odpowiedzieli natychmiast ratownicy pełniący dyżur na Kasprowym. Po dojechaniu na miejsce zdarzenia

¹⁹ Nadesłane 19 listopada 2012 r.

²⁰ A. Marasek, *Chyba tylko anioł stróż*, „Tatry” 2013, nr 3.

WOŁANIE W GÓRACH

okazało się, że narciarzy jest dwóch. Z relacji poszkodowanych wiemy, że wypadek miał następujący przebieg: Najpierw w stromym, wąskim zaśnieżonym żlebie upadł i zsunął się do wylotu żlebu 64-letni narciarz. Towarzyszący mu syn, widząc wypadek ojca, pospieszył z pomocą, ale i on upadł, zaczął się zsuwać w dół, uderzając po drodze w skaliste ściany żlebu. W rezultacie ojciec nie doznał żadnych obrażeń, ale syn złamał rękę i dość mocno potłukł się i poobcierał. Ratownicy opatrzyli poszkodowanego narciarza i pomogli obu bezpiecznie dojechać do dolnej stacji wyciągu na Gąsienicowej. Jak mówi porzekadło: mierz siły na zamiary. Jednak w górach lepiej mierzyć zamiary na siły i umiejętności.